

0 dojnej krowie, wielkiej kasie i pазernych cwaniakach

11 marca 2012

To, że komuś daje się lekką rączką 570 tys. zł, specjalnie już dziś nie dziwi. Pod warunkiem, oczywiście, że dar nie z prywatnej kiesy pochodzi. Był czas przywyknąć. Bezustannie mówi się przecież o horrendalnych zarobkach różnych prezesów, dyrektorów i ekspertów. Wiemy o burmistrzach, ledwie wegetujących mieścin, którzy co miesiąc zgarniają dla siebie krocie. Gdybyż to jeszcze byli menedżerowie pełną gębą czy wielcy znawcy... Nic z tych rzeczy. Najczęściej atutem tych swojskiego chowu krezusów jest to, że kiedyś tam kogoś znali, no i w odpowiednim momencie potrafili wyzyskać koneksje i układy. Jednego nie można im odmówić. Otóż w zażartej walce o stołki i związane z nimi profity, wykazali więcej bezczelności i bezwzględności niż ich konkurenci. W wojnie na łokcie okazali się mistrzami. Ich filozofia życiowa jest bardzo prosta. Państwo postrzegają jako dojną krowę. Synekury, które im przypadły, nie będą trwać wiecznie, więc trzeba doić tę krowę, ile tylko wlezie. No i doją. Signum temporis!

Jaką to zadziwiającą drogę musiało przejść państwo polskie: od robotniczego buntu przeciw biurokracji partyjnej z 1980r. do degrengolady czasów obecnych, od egalitaryzmu pierwszej „Solidarności” do tych przeróżnych BCC i temu podobnych. O Business Center Club w styczniowym „Le Monde Diplomatique” pisał w znakomity sposób Przemysław Wielgosz.

570 tys. to sporo, dla większości mieszkańców nadwiślańskiej krainy, to wręcz niewyobrażalna kwota. Tyle można wygrać w totolotka, ale żeby ktoś komuś, właściwie za nic... Ile lat na taką kasę musiałby pracować przysłowiowy Nowak czy Kowalski? Piętnaście, niechby dziesięć, ale żeby odłożyć, nie mógłby jeść, pić, trzeba byłoby wspaniałomyślnie zwolnić go ze wszystkich opłat, a los szczerdzić od nieszczęśliwych wypadków,

kiedy to pieniądze wyciekają w mocno przyspieszonym tempie.

Tak się składa, że całkiem niemałą część swego żywota, spędzam teraz w licznych rozjazdach. Jeżdżę więc i wysłuchuję chcąc nie chcąc tego całego ludzkiego gadania. Czasami są to zwykłe przechwałki, ale częściej jednak wyrzucanie z siebie tego, co boli. A to dopadło człowieka jakieś choróbsko, drożyzna w sklepach, gdzieś tam niczego nie załatwi się bez łapówki, dzieci pokończyły szkoły i nigdzie nie mogą znaleźć pracy, jest źle, a będzie jeszcze gorzej. Ot, zwyczajna, pozbawiona lukru rzeczywistość. Samo życie. Kiedyś Smoleń śpiewał piosenkę o smutnych pasażerach, którzy porannym kursem zmierzają do zakładów pracy. Ich twarze pozbawione są jakichkolwiek oznak radości, choć zewsząd dobiegają zapewnienia, że Rzeczpospolita rozkwita. Gdyby dziś Smoleń też trochę pojeździł autobusami, busami czy tramwajami, to dostrzegłby zapewne, kto wie, czy nie jeszcze bardziej, rozżalone oblicza. Radośnie to jest tylko w głupawych telewizyjnych programach, w kolorowych papierowych szmatławcach i na wiecach P0.

Jadę więc i czytam sobie starą książkę polskiego filozofa Andrzeja Grzegorczyka. Cholera, myślę sobie, musiał już wówczas profesor swym logicznym umysłem przewidzieć kondycję dzisiejszej klasy politycznej. Grzegorczyk w Filozofii czasu próby (Warszawa 1984) pisze:

„Człowiek jest przy tym takim rodzajem pasożyta, który potrafi żerować na egzemplarzach swojego własnego gatunku. Okazuje się zwykle, że ilość produktów i dostępnych zasobów jest ograniczona i jeśli jedni mają czegoś dużo, to wówczas inni mają mniej, niż wynosi ich rzeczywista potrzeba. Również społeczne uznanie realizowane bywa w sposób niesprawiedliwy: jedni poczytywani są za ważniejszych, inni za mniej ważnych. Pragnienie dominowania nad innymi posiada równocześnie swój wymiar ambicjonalny, a nie tylko konsumpcyjny. Należy ono często do społecznej patologii. Jest niezdrową reakcją na chorą sytuację, na uprzednie uleganie dominacji i na doznane

upokorzenia”.

„Ludzie o postawach moralnie wyższych w życiu społecznym przeważnie ulegają odsunięciu na bok lub całkowitemu wyeliminowaniu. Dokonują tego ludzie bardziej prymitywni, zachłanni, bezwzględni i brutalni”.

Ano właśnie. Wypisz, wymaluj! Każda władza demoralizuje, a w państwie, którego jedyną ideologią jest robienie pieniędzy za wszelką cenę i bez oglądania się na nic (czytaj: kapitalizm), ta władza demoralizuje w dwójnasób. Politycy lubią pleść o swym przywiązaniu do ogólnikowo brzmiących idei wolności, sprawiedliwości, demokracji. To jest jednak tylko na pokaz, pod publiczność. Gdy wyłączy się mikrofony i zgasną światła, abstrakty porzucane są na rzecz konkretów, np. kilkuset tysięcy złotych do prywatnej kieszeni.

I nie to nawet bulwersuje, że kradną, że czynią to w majestacie prawa, bez najmniejszej żenady, na oczach milionów. To jeszcze można zrozumieć. Negatywna selekcja musi owocować pazernością, interesownością i żalosną miałkością horyzontów myślowych decydentów na różnych szczeblach władzy. Kto sieje chorym ziarnem, niech nie dziwi się potem tak marnym plonom.

Czymś zdecydowanie gorszym jest demoralizujący wpływ tego wszystkiego na młodych ludzi. Przerażenie ogarnia, gdy przyjrzeć się nowym adeptom polityki. To cwaniacy, którzy pojęli, że przez działalność polityczną można nieźle ustawić się w życiu. To panoptikum karierowiczostwa i cynizmu. W najlepsze funkcjonuje tam zasada, w myśl której wszyscy są złodziejami. Różnica polega tylko na tym, że jedni kraść mogą i to dla nich są ekskluzywne plaże w ciepłych krajach, najdroższe samochody, rauty i bale; drudzy zaś kraść nie mogą i dla nich to, na osłodę życia, telewizja produkuje Plebanię, Klan, Złotopolskich i inne badziewie.

Andrzej Wajda nakręca właśnie film o Wałęsie. Będzie to zapewne kolejny kicz w dorobku reżysera, który przy końcu lat

siedemdziesiątych XX wieku zatracił talent całkowicie i bezpowrotnie. Nie to jest jednak ważne. Jak mu dają, to nakręca. A dają, bo takie kiczowate filmowe hagiografie pełnią podobne funkcje jak tasiemcowe seriale. Mają znieczulać, ogłupiać i szerzyć konformizm. I to czynią.

Ciekawsza będzie tu konfrontacja chwalcy kapitalizmu z historią, którą tworzyli ludzie o spracowanych rękach, ubrani w robocze kombinezony, ludzie, dla których sprawiedliwość nie była tylko odświeżonym sloganem. W imię sprawiedliwości zbuntowali się przecież, a tu chce opowiadać o nich człowiek, który co rusz zapewnia, że w Polsce jest super! Jest super, mimo biedy, bezrobocia, wyzysku i wielomilionowej emigracji za chlebem. Czego jednak można wymagać od kogoś tak całkowicie oderwanego od realiów życia? Jest zamówienie na kolejną laurkę, więc Wajda przystępuje ochoczo do dzieła. Do tego nadaje się jeszcze.

A rzeczywistość skrzeczy. I to bardzo. Jak się mają ideały Sierpnia '80 do przepychu i bogactw nowej kapitalistycznej „arystokracji”? Co mieliby do powiedzenia strajkujący robotnicy, gdyby wiedzieli, że ich poświęcenie zostanie wyzyskane do wygenerowania owej „arystokracji”? Piotr Szumlewicz w „Bez Dogmatu” (IV/2011) pisze o życiu takich właśnie wybrańców losu:

„Wyznacza je zaś między innymi przepych, o którym pisały portale plotkarskie: „Na wielkim terenie wśród ogródków działkowych powstał zaprojektowany z rozmachem pałac, który ma chyba przyćmić wszystkie inne. W posiadłości wzorowanej na królewskim Pałacu na Wodzie znajduje się ponoć sala balowa, dwie sauny, basen, oranżeria i sala kinowa”. Mało kogo w Polsce stać na własną salę balową czy oranżerię, ale każdy może o nich marzyć, podziwiając wielkość i splendor bogatej pary”.

Loty do pracy prywatnym samolotem, pałace na wodzie i na lądzie, prywatne oranżerie, bogactwa, o których nawet nie

śniło się PRL-owskim kacykom. Więc niby dlaczego nie kilkusettyśięczna premia za nic? Niech jeszcze i to! Jak długo jednak?

Autor: Tomasz Kłusek

Źródło: [Lewica](#)